

N. S. Lincoln.

# Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

3

— Czy nie zdziwiło to pana, że pani Trevor rano na drugi dzień nie zeszła do wspólnego śniadania?

— Nie, żona nie lubiła wcześniej wstawać, zwykle też kazała sobie śniadanie podawać do łóżka. O ile nie wezwała mnie wcześniej do siebie, spotykaliśmy się zawsze dopiero przy drugim śniadaniu.

— Czy żona pana była mańkutem, t. j. używała lewej ręki?

Syndyk spojrzał zdziwiony na sędziego.

— Ależ tak jest! — odpowiedział szybko.

— Czy wyrobił pan sobie jakiś pogląd na całą tę sprawę? Kogo pan podejrzewa, że popełnił ten straszny mord?

— Przypuszczam, że czynu dopuścił się włamywacz Nelson.

— Czy pani Trevor ze wszystkimi domownikami żyła w zgodzie?

Wyraz twarzy świadka zmienił się na jedno krótkie mgnienie oka.

— O ile wiem, to tak! — odpowiedział jednak spokojnie.

— To wystarczy, dziękuję. Ach proszę, jeszcze jedno... — syndyk już podniósł się z krzesła — może pan będzie łaskaw nam jeszcze opowiedzieć, co panowie z ciałem zrobili po wydobyciu go z szafy?

Trevor w krótkich słowach uczynił zadość żądaniu sędziego, poczem wyszedł z pokoju.

Jego miejsce zajął z kolei Wilkins. Potwierdził on najpierw zeznania swego pana, oświadczając, że w służbie rodziny Trevorów pozostaje już przeszło dwadzieścia jeden lat.

— Czy we środę wieczór zamknął pan starannie dom, panie Wilkins?

— Tak, panie sędzio, zrobiłem to. Każde drzwi i każde okno sam zaryglowałem.

— Czy pan z całą stanowczością to pamięta?

— Z całą stanowczością, panie sędzio.

— Czy tego dnia wieczór odwiedził jeszcze jakiś gość panie w domu?

— Nie, nikt wtedy nie był, prócz panny Macallister, która zabrała na bal do swojego powozu pannę Beatrycę.

— O której, mniej więcej, godzinie panie wstały od stołu?

— Około godziny ósmej, a właściwie dwadzieścia minut po ósmej. Właśnie biło wpół do dziewiątej, kiedy wniosłem do pokoju kawę. Zostałem w pokoju tylko panią Trevor, która mi powiedziała, że panienska poszła na górę, aby się ubrać. Pozostawiłem jej filizankę na stole.

— A kiedy pan, Wilkinsie, położył się spać?

— Poszedłem do siebie na górę kilka minut po dziesiątej, panie sędzio. Reszta służby już dawno spała.

— Czy o tym czasie zwykle chodziliście spać?

— Nie, panie sędzio; dzień przedtem jednak wydawała pani Trevor wielki wieczór literacko-artystyczny, który przeciągnął się aż do godziny czwartej nad ranem. Byliśmy wszyscy śmiertelnie zmęczeni i dlatego pani Trevor pozwoliła nam iść wcześniej spać. Nawet swojej garderobianej powiedziała, że się sama rozbierze.

— I właśnie wtedy, kiedy wam te polecenia wydawała, widzieliście panią Trevor po raz ostatni?

— Tak, wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Monotonny głos służącego nabrał przy tych słowach dziwnego brzmienia, tak, że zwróciło to uwagę sędziego.

— Co pan chce przez to powiedzieć, Wilkins?

— Nic, mówię tylko, że pani mojej już więcej potem nie widziałem, panie sędzio.

— W takim razie sformułuję moje pytanie inaczej. Czy pan potem jeszcze słyszał głos pani Trevor?

— Tak — odpowiedział Wilkins z wielkim wahaniem i ociąganiem się.

— Kiedy?

— O godzinie kilka minut po dziewiątej nadzedł pilny telegram dla pana Trevora. Chcąc oddać go pani Trevor, udałem się do biblioteki. Drzwi nie były całkiem domknięte i wtedy usłyszałem, jak panie...

— Panie? Jakie panie?

— Pani Trevor i panna Beatrycza, panie sędzio. Poznałem ich głosy.

— Czy pan mógł rozumieć, o czym między sobą rozmawiały?

— Tak, panie sędzio. Ale to już nie moja wina, tylko przypadek. Nie chciałem wcale podsłuchiwać, na miękkim dywanie nie słychać było jednak moich kroków, a obie panie były za bardzo wzburzone, aby zwrócić mogły na mnie uwagę.

— Czy kłóciły się między sobą?

— Ja... ja...

— Niech pan pamięta o tem, że zeznania swoje składa pan pod przysięgą. Pan musi mówić prawdę, Wilkins, tylko szczerą prawdę!

— Tak, panie sędzio.

Biedny człowiek rzucił zrozpaczone i proszące spojrzenie na przysięgłych, nie znalazł tam jednak żadnego oparcia, wszyscy w naprężeniu oczekiwali na jego odpowiedź.

— Dosłyszałem i zrozumiałem tylko kilka słów, panie sędzio. Panna Beatrycza powiedziała głośno: „A twoja cena?” „Tę znasz dobrze”, odpowiedziała pani Trevor. Słowa te wyrzekła takim tonem, że oburzył on bardzo pannę Beatrycę. Rozgniewała się też gwałtownie i zawołała bardzo głośno: „Ty dyable, zabieraj się stąd zaraz i nie wchodź mi w drogę, inaczej gotowam się zapomnieć i obić cię”.

— Co się potem stało?

— Właśnie w tej chwili zajechał powóz panny Macallister i lokaj jej zadzwonił u drzwi wchodowych. Położyłem telegram na stole w holu i poszedłem, aby o tem pannę Beatrycę zawiadomić. Spotkałem ją jednak w pół drogi. Szła szybko, niosąc płaszcz przerzucony przez ramię. Kiedy pomagałem jej weń ubierać, zauważyłem, że drżała na całym ciele.

— A co stało się z panią Trevor?

— Tego nie wiem. Kiedy powóz odjechał, poszedłem najpierw do biura i obejrzałem, czy wszystkie okna zamknięte, potem zaś obszedłem także inne pokoje. Przypuszczam, że pani Trevor poszła już wtedy do siebie na górę, a ja także niebawem na spoczynek.

— Czy w nocy budzono pana ze snu?

— Nie, panie sędzio. Pokoje dla służby znajdują się wszystkie na czwartym piętrze. Dom nasz jest dobrze budowany i ma grube ściany. Na górze zwykle słyszymy tylko dzwonek od drzwi wchodowych, a ten w nocy ani razu nie zadzwonił.

— Na drugi dzień, jak pan rano zszedł na dół, jak pan wszystko zastał?

— W parterze wszystkie okna były zaryglowane. Łańcuch bezpieczeństwa u drzwi wchodowych był także dobrze założony. Okno na schodach, którym wszedł włamywacz, zasłonięte jest ciężką portyera. Kiedy przechodziłem koło niego, widziałem że było zamknięte. Dopiero detektyw odkrył, że ono było w nocy otwierane.

— Czy był pan w biurze?

— Byłem i nic specjalnie ciekawego nie zauważyłem.

— Żadnych śladów stoczonej walki?

— Nie, panie sędzio. Zarówno dywany, jak i stołki i stoły były na swoim miejscu.

— W takim razie skończyliśmy przesłuchanie, może pan odejść — oświadczył sędzia, a Wilkins, westchnąwszy z ulgą, oddalił się szybko.

Wśród publiczności zapanowało niebывale podniecenie. Pani Macallister została formalnie zaskoczona i przestraszona zwrotem, jaki przybierać zaczynało śledztwo. Podejrzenie kierowało się w kierunku zupełnie nieoczekiwanym. Fakt ten oddziaływał na ruchliwą zwykle panią Macallister tak silnie, że nie umiała zupełnie ubrać w słowa uczuć, które serce jej przepełniały.

Wezwano Beatrycę Trevor. Weszła spokojna i panująca nad sobą. Jedynie tylko noce nieprzespane i troska odbiły się w tej pięknej twarzyczce. Mimo to wielkie, szczerze jej oczy patrzyły odważnie i ze spokojem przed siebie i na obecnych.

W sercu Peggy zagotowało się. Jak śmiano przypuszczać nawet możliwość tego faktu, że Beatrycza, jej kochana, droga Beatrycza mogła być podejrzana o morderstwo! Myśl ta, zdaniem Peggy, była zupełnie głupia.

Nawet na przewodniczącym zrobiła poważna i pełna godności postawa Beatryczy bardzo silne wrażenie. Głos jego brzmiał bardzo łagodnie, kiedy rozpoczął przesłuchanie.

— Panno Trevor, mam do pani skierować tylko kilka pytań. O której godzinie powróciła pani z balu?

— Wyjechałyśmy stamtąd o godzinie kwadrans na trzecią, a do domu przybyłam w piętnaście minut potem.

— Czy pani spotkała kogo, kiedy pani weszła do domu?

— Nie.

— Czy wszędzie było już ciemno?

— Tak, paliło się tylko światło w przedpokoju.

— Czy pani udała się prosto do swojej sypialni?

— Tak. Założyłam łańcuch bezpieczeństwa po zamknięciu drzwi, zgasiłam światło w przedpokoju i poszłam do siebie.

— Kiedy pani widziała swoją macochę po raz ostatni?

— W bibliotece, zanim nadjechał po mnie powóz.

— Panno Trevor... — sędzia poprawił sobie dewizkę zegarka w dziurce od kamizelki — ...o co pokłóciła się pani onego wieczora ze swoją macochą?

Pytanie ugodziło, jak strzała. Beatrycza pod jego wrażeniem zbladła... i zachwiała się.

— Co... pan... mówi?... jak?... — wyjąkała.

Sędzia powtórzył jeszcze raz pytanie. Wielkim wysiłkiem woli odzyskała Beatrycza równowagę o tyle, że mogła odpowiedzieć.

— Sprawa ta obchodzi tylko mnie i moją macochę. Oświadczam stanowczo, że w tej sprawie odmawiam jakichkolwiek wyjaśnień.

— Ależ pani musi, panno Trevor!

— Mimo to ja nie chcę. Nasz spór niema nic wspólnego ze straszną śmiercią pani Trevor.

— To tylko ja mogę dokładnie ocenić — odpowiedział sędzia.

Beatrycza, nieczuła na wszelkie przedstawienia milczała, nie dając żadnej odpowiedzi.

— Czy pani, panno Trevor, nie chce zrozumieć tego, że przy obecnej sytuacji, pani, odmawiając zeznań, sama sobie najwięcej szkodzi? Ludzie z tego bez skrupułów wyciągną jeden jedyny wniosek. Proszę panią, przez wzgląd na samą siebie, niech nam pani szczerze powie, o co wtedy wieczór posprzeczałyście się?

— Odmawiam stanowczo odpowiedzi.

Przewodniczący wzruszył ramionami. Ostrzegł ją, więcej nie mógł zrobić.

— Więc dobrze, panno Trevor! Może pani już odejść.

Beatrycza zacięła silnie usta. Wyszła z dziwnie błyszczącymi oczyma.

Przez chwilę przewodniczący przeglądał stos papierów, które przed nim leżały. Wreszcie wydał cicho jakieś polecenie. Zaraz potem wprowadzono kapitana marynarki Donalda Gordona, jako świadka. Wszyscy w zdumieniu wstrzymali po prostu oddech. Co miał do czynienia ze zbrodnią ten człowiek?

Nikt jednak bardziej nie był zdziwiony, niż sam Gordon. Wezwanie otrzymał rano, przed kilku godzinami za ledwie. Poirytowało go ono mocno, gdyż miał właśnie towarzyszyć popołudniu prezydentowi, jako jego adjutant, na wycieczkę. A tak musiał prosić o zastępstwo jednego z kolegów adjutantów.

Gordon cieszył się zarówno u przełożonych, jak i między kolegami jak najlepszą opinią. Uchodził za doskonałego marynarza. Walczył on pod Manillą pod rozkazami generała Deveya i tak się odznaczył, że otrzymał kilkakrotnie pochwały od kongresu. Lubiany był przez swych towarzyszy i przez szerokie koła znajomych. Wysoki, odznaczał się męską pięknoscia.

— Panie kapitanie — rozpoczął sędzia, odebrawszy od niego przysięgę — chciałem pana zapytać się, czy to do pana należy?

Wymawiając te słowa, wyciągnął ku niemu rękę, w której błysnął duży złoty sygnet.

Zdumienie i niedowierzanie odmalowało się na twarzy Gordona, kiedy z lekkim ukłonem odebrał podawany mu przedmiot. Obejrzał go dokładnie, raz i drugi.

— Tak — oświadczył wreszcie — tak, to jest mój sygnet. Mój monogram i data wystąpienia mego z Akademii nautycznej są wewnątrz wyryte.

Nagle głos jego przybrał głębsze brzmienie, gdy po chwili zastanowienia, szybko zapytał:

— Ale w jaki sposób ten pierścień dostał się w pana ręce?

— Znalaziono go... — sędzia zrobił pauzę, która jak olów zaciążyła nad wszystkimi, poczem powtórzył głośno i dobitnie — znalaziono go w silnie zaciśniętej ręce zamordowanej pani Trevor.

Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy. Donald Gordon wypatrzył się w milczeniu na sędziego, jak gdyby go nie rozumiał zupełnie. Powoli dopiero zaczęło w umyśle jego formować się znaczenie tych słów. Nagle zerwał się i skoczył ku stolowi.

— To jest kłamstwo! — krzyknął. — Niech was wszyscy dyabli wezmą, to jest proste kłamstwo.